

Darfur – śmierć na pustyni

2 kwietnia 2010



Poruszają się na koniach i wielbłędach. Palą, gwałcą i mordują. Wszystko wskazuje na to, że w swojej zbrodniczej działalności bojówki Dżandżawid mają wsparcie sudańskiego rządu.

Czy rozgrywające się tysiące kilometrów od środka Europy ludobójstwo powinno nas niepokoić? Nie raz już zadawaliśmy sobie takie pytanie. Rwanda, Demokratyczna Republika Konga, Timor Wschodni... Lista byłaby długa. Teraz pojawia się na niej nowa nazwa: Darfur. Gdy zachodnie media całkiem obszernie donosiły o wydarzeniach w tej odległej krainie, polskie – z nielicznymi wyjątkami – przez długie miesiące milczały. Czy rzeczywiście „nie ma tematu”?

ZAPOMNIANA PROWINCJA

Darfur to w przeważającej części pustynna kraina w Sudanie – kraju, który nie ma szczęścia do pokoju. Już w momencie uzyskania niepodległości w roku 1956 pogrążony był w chaosie wojny domowej. Zwalczały się społeczności czarnego animistyczno-chrześcijańskiego Południa i islamskiej Północy.

Walkę o władzę wygrali ci ostatni, jednak konflikt miał trwać latami.

Graniczącą z Czadem prowincję Darfur zamieszkują przedstawiciele trzech grup etnicznych: Fur, Masalit i Zaghawa. Rejon ten zawsze stanowił odległą i niemal zapomnianą przez władze w Chartumie prowincję, a sytuacja żyjącej tam ludności była trudna. Wyrazicielem jej frustracji stały się z czasem dwa rebelianckie ugrupowania: Sudańska Armia Wyzwolenia oraz Ruch na rzecz Sprawiedliwości i Równości. W lutym 2003 roku rzuciły one hasło skończenia z ekonomiczną marginalizacją regionu. Domagały się też udziału we władzach zdominowanych przez ludność arabską oraz uregulowania kwestii związanych z własnością do ziemi – Arabowie od lat rywalizują o tereny pasterskie z lokalnymi ludami.

Partyzanci wystąpili przeciw wojskom rządowym, a odpowiedź Chartumu była natychmiastowa. Celem ataku miała się jednak stać przede wszystkim ludność cywilna należąca do mniejszości, z których wywodziły się rebelianckie ugrupowania.

JEŹDŹCY APOKALIPSY

Chartum nie chciał wysyłać bezpośrednio swoich wojsk, w każdym razie nie w liczbie, która przyciągnęłaby uwagę drażliwych sąsiadów. Nie musiał. Od dawna bowiem wśród arabskich nomadów przemierzających pustkowia Darfuru istniała silna tradycja wojowników. Wystarczyło tylko trochę podgrzać atmosferę i rzecz całą dopracować strategicznie. Efekt był natychmiastowy. Etniczne animozje szybko przekształciły się w wyniszczającą wojnę. Silniejszą stroną okazały się milicje arabskie mające za sobą wsparcie rządu. On dostarczał pieniądze, broń, a gdy było trzeba, wysyłał swoich ludzi – tak w każdym razie utrzymują organizacje broniące praw człowieka.

„Dżandżawid” w wolnym tłumaczeniu oznacza kawalerzystę, zbrojnego jeźdźcę. Faktycznie – bojówkarze najchętniej poruszają się na koniach i wielbłądach. Niemniej zdarza im się

korzystać i z nowszych zdobyczy wojskowej techniki. Gdy tego potrzebują, mogą liczyć na transport kołowy, a nawet wsparcie z powietrza (kto wysyła samoloty? – pozostaje pytaniem retorycznym).

Jak szacuje organizacja Human Rights Watch, współpracujące ze sobą arabskie milicje i siły rządowe, zabiły tysiące ludzi z Fur, Masalit i Zaghawa. Odpowiadają także za gwałty, zniszczenie wiosek i zapasów żywności. Mimo, że napastnicy sami wywodzili się z ludności wyznającej islam, dopuszczali się zabójstw muzułmańskich duchownych, burzyli meczety, a nawet profanowali święte księgi Koranu, należące do znienawidzonych czarnych mniejszości. W wielu opowieściach powtarza się element wyjątkowego okrucieństwa, który towarzyszył pacyfikacjom. Świadczy o tym fragment relacji jednego z uchodźców cytowanego w dokumentach Amnesty International:

„Było wcześniej rano, ludzie spali. Około 400 uzbrojonych ludzi otoczyło wioskę. Nosili mundury, takie same jak wojsko, mieli pojazdy i karabiny. Później przyleciał samolot by sprawdzić, czy operacja się udała. Co najmniej 82 osoby zginęły podczas pierwszego ataku. Część zastrzelono, inni – szczególnie dzieci i starcy zostali spaleni żywcem w swych domach”.

Winni za ogrom zbrodni są poszczególni ludzie, niemniej trzeba mieć świadomość, że do tych wydarzeń doprowadził pewien mechanizm polityczny, a jego głównym elementem – wiele na to wskazuje – były władze Sudanu. Co ciekawe Chartum twierdzi, że nie kontroluje poczynąń bojówkarzy Dżandżawid, a prezydent Omar al-Bashir miał nawet nazwać ich „złodziejami i gangsterami”.

Jednak coraz więcej źródeł potwierdza, że zbrodnicze działania arabskich milicji cieszyły się poparciem władz. W tym roku organizacja Human Rights Watch (HRW) dotarła do dokumentów wskazujących na związki między Chartumem i dżandżawidami. Jak stwierdził potem jeden z przedstawicieli HRW: „Dokumenty te

pokazują, że działania milicji nie tylko były akceptowane, ale ściśle wspierane przez członków rządu sudańskiego”.

UCIECZKA I POMOC

Odpowiedzią na brutalne czystki etniczne stał się exodus mieszkańców prowincji. Ratując życie, zostawiali swoją ziemię i groby pomordowanych bliskich.

W efekcie ucieczki i przymusowych wysiedleń ponad milion osób trafiło do obozów przesiedleńczych. Żyją w nieludzkich warunkach walcząc o przetrwanie. Jest tam nieco bezpieczniej niż w wioskach, brakuje jednak żywności, wody i lekarstw. Próby zdobycia czegoś do jedzenia czy drewna na opał poza terenem obozów często kończą się tragicznie – dżandżawidzi patrolują okoliczne tereny, a polowanie na ludzi trwa.

Ponad 100 tys. uciekinierów przedostało się na teren Czadu. Wiele obozów jest jednak zlokalizowanych wzdłuż 600-kilometrowej granicy, co czyni je podatnymi na ataki bojówek, przenikających z Sudanu.

W marcu tego roku jeden z przedstawicieli ONZ opisał to, co dzieje się w Darfurze jako „jeden z największych kryzysów humanitarnych”.

Do ogarniętej nim prowincji i przygranicznych terenów Czadu zaczęli przenikać wolontariusze i pracownicy organizacji humanitarnych. Sudańskie władze próbowały początkowo ograniczać te działania – tamę miała stawić im lokalna biurokracja. To jednak nie zniechęciło ludzi, chcących nieść pomoc ofiarom wojny.

Jedną z pierwszych konstatacji przybyłych było to, iż tysiącom osób stłoczonym w obozach grozi śmierć głodowa. Mimo że obecnie w Darfurze działa wiele organizacji humanitarnych, to jednak brakuje im środków finansowych na efektywną pomoc. A potrzeby są ogromne. Sytuację pogarsza fakt, że warunki klimatyczne regionu są wyjątkowo trudne, a sytuacja polityczna

– wciąż nieprzewidywalna.

ONI I MY, CZYLI LUDZIE

Dramat w Darfurze trwa. Nadal giną ludzie – od kul bojówek, z głodu i chorób. Umierają jednak daleko. Tysiące kilometrów stąd. Czy jest to jednak powód, by przejść nad kryzysem do porządku dziennego? W końcu zamiast tracić czas na wnikanie w tło i zawiłości odległego konfliktu, moglibyśmy zająć się czymś konkretnym. Ot choćby – przysiąść, wyjąć kartkę, długopis i zrobić listę zakupów przed kolejnym wypadem do supermarketu. Albo włączyć telewizor i zobaczyć sto piętnasty odcinek naszej ulubionej telenoweli. To nie my wywołaliśmy tę wojnę i nie my na niej zabijamy, więc o co chodzi?!

A jednak coś byłoby nie w porządku.

Dlaczego? To proste. Nieważne gdzie mieszka, nieistotne jakiej rasy i narodowości jest poniżany, bity czy mordowany człowiek. To CZŁOWIEK. Czy jest to mój rodak, czy przedstawiciel ludu Masalit z Darfuru, nie powinno mieć znaczenia. Być może słusznie jedna z organizacji opatruje swoje komentarze o sudańskich masakrach hasłem: „Milczenie to współodpowiedzialność”. Zbyt ostro?

Jednak dyktatorzy i zbrodniarze muszą wiedzieć, że ktoś patrzy na ich zbrukane krwią ręce. Ofiary przemocy mają prawo oczekiwać, że ktoś na czas zdąży z pomocą. Powinny mieć świadomość, że świat o nich pamięta. Ten świat, to także pewne państwo w sercu Europy. Nazywa się Polska.

Autor: Artur Sałaszewski

Zdjęcie: Flickr

Źródło: [Pomagamy](#)